



FUSZ ERKA



Fuszerka

Jacek Wesółowski

CC BY-NC 4.0

2014

ilustracja na okładce: Aleksandra Spisak

redakcja i korekta: Bianka Piwowarczyk-Kowalewska

projekt i skład: Kaja Mikoszevska



<http://wonderland-engineering.eu>

v.1.0

Mężczyzna poczuł na karku ruch powietrza. Nie zwrócił uwagi. O tej porze zawsze wiało.

Kobieta zakłęta w myślach. Jej stopy minęły kark mężczyzny o grubość palca, może dwóch. Chwilę wcześniej złapała dłońmi krawędź dziury w przewodzie wentylacyjnym i energicznie odbiła się od niej nogami. Grawitacja zrobiła swoje, lecz siła odśrodkowa również, więc jej ciało, zamiast zawisnąć, rozhuštało się. Miała szczęście, że mężczyzna stał dokładnie na wprost i wyglądał przez okno. Gdyby się wyprostował, uderzyłaby go. Gdyby się obrócił, zauważyłby ją.

Przemknęło jej przez myśl, że należało sprawdzić, czy korytarz jest pusty – nie bujać się, nie skakać, nie wywijać fikołków, tylko zwyczajnie zejść jak człowiek. Teraz zwiślała jak ten cieć z dziury w suficie, trzymając palcami brzeg niefachowo rozciętej blachy. Trzeba było nie

korzystać z okazji, jaką zdawał się stwarzać rozbebeszony wylot wentylacji, tylko poszukać włazu. Zawsze jest jakiś właz, a za nim – jakaś drabina. Rozbebeszone wyloty zawsze wróżą komplikacje.

Rzuciła okiem na sprzęt. Miotacz dyndał beztrąsko na pasku, który jednak zamiast na jej ramieniu spoczywał na wystającym z sufitu pręcie. To było zaplanowane – podskoczyć do miotacza, gdy sama już będzie na dole, i mocnym szarpnięciem ściągnąć go na podłogę. Chi zakłęta w myślach i obiecała sobie, że raz na zawsze skończy z planowaniem.

Puściła. Stalowa krata zabrzęczała pod jej butami, ale odgłos zatonął w podmuchu wiatru. Faktycznie, przeciąg jak diabli. Skąd Pejka wie takie rzeczy?

Mężczyzna, nieświadom towarzystwa, wyglądał przez okno na ognisty pejzaż złożony z wydm, po których pełzły tumany niesionego wiatrem piachu. Piach nie podrywał się, lecz raczej kłębił, z tej wysokości przypominając niespokojne, intensywnie pomarańczowe morze. Chi rzuciła okiem na korytarz – stała w ślepym zaułku pozbawionym okien, wyjąwszy to jedno, będące w istocie brakiem dalszego ciągu budowli przesłoniętym do wysokości pasa blaszaną prowizorką. Właściwie wszystko było tu chwiejne i na wpół rozebrane, a korytarz zdawał się trzymać kształt jedynie siłą nawyku. Piach w kątach. Zero sprzętów. Piękne, wieczorne słońce sączące się łagodnie przez dziury w ścianach. Do najbliższych drzwi – dziesięć metrów. Jej miotacz – widoczny jak na dłoni. Kłopoty murowane.

Wyrznęła mężczyznę w twarz, akurat gdy odwrócił się do niej zaniepokojony niespodziewanym tupnięciem. Podskoczyła do miotacza i chwyciła pasek, zgodnie z planem. Nim ruszyła ku drzwiom, pozwoliła sobie na chwilę zachwyty nad krajobrazem. Stalowe kraty zadrżały bezgłośnie w rytm jej kroków.

Za drzwiami była klatka schodowa – Chi stała na samym szczycie. Szyb miał znaczny przekrój, a metalowe, bardzo podłe schody biegly w dół kwadratową spiralą rozpiętą na ścianach. Pusta przestrzeń na środku najwyraźniej mieściła kiedyś windę lub dźwig. Światło przeciekające przez byle jak potatany sufit nie sięgało do kątów i niższych pięter, upodabniając szyb do studni bez dna. Oswajał go blask wylewający się z jednego z przylegających pomieszczeń, piętro niżej, gdzie – sądząc po odgłosach – znajdował się ktoś wyposażony w nóż i dobry nastrój. Właśnie kroił cebulę, o ile Chi nie myliły zmysły. Wszakże mogły mylić – jadła cebulę tylko raz w życiu i odtąd często śniła o niej po nocach.

Wzruszeniem ramion odegnała marzenie i przymierzyła się do susa przez – nie, nie tym razem. Mogła skoczyć naprzód, przesadzić poręcz i po dwóch saltach wylądować po przeciwnej stronie szybu, na niższym piętrze, gdzie z kolei poręczy brakowało i można było gładko wylądować. Zeszła schodami. Tak było prościej i ciszej.

Źródłem blasku okazał się pożar! Szalał w kącie pomieszczenia, naprzeciw wejścia, pod beczką umocowaną na prowizorycznym rusztowaniu. Płonący materiał umieszczono pośrodku misternej konstrukcji z betonowych kłoców, najwyraźniej dość trwałej, by utrzymać zagrożenie w ryzach. Chwilę zajęło jej zrozumienie, że jest w jakiejś przedpotopowej kuchni. Panujący w niej zaduch miał wyraźną organiczną nutę. Na ścianach tańczyły wielgachne cienie rzucane przez zawieszony pod sufitem, obrzydliwe płaty czegoś, co było chyba truchłami zwierząt obranymi ze skóry i organów. Jednak największy cień należał do niezbyt wysokiego, za to dość otyłego brodacza w średnim wieku stojącego tyłem do niej i rzeczywiście krojącego coś nożem – a raczej nożyskiem, jednym z tych znacznie za dużych na cebulę. Na blacie leżały posiekane w drobną kostkę brykiety żywnościowe, kilka

płatów mięsa i – wierzyć jej się nie chciało – dorodna główka kapusty. Cebuli wszakże nie dostrzegła.

Kucharz podśpiewywał skoczny szlagier, kroił do taktu i krzątał się między blatem a paleniskiem, stawiając kroki w improwizowanym układzie tanecznym, bardzo żwawym jak na jego tuszę. Trochę ją to krępowało. Wychowano ją w przekonaniu, że nie wypada podglądać ludzi w intymnych sytuacjach.

– Co siebie gotuje? – mówiąc to, zakąsała, bo głos jej nieco drżał. Siebie? Sobie? Się? Nie była pewna.

Kucharz nie przerwał baletu.

– Jak zwykle, kotku! Dobre rzeczy.



Kurwa, ale upał. Gdyby tak nie piździło, nie szłoby wytrzymać. I on, w ten kurewski skwar, stoi na tej jebanej patelni i haruje...

Upewnił się, że maska zawieszona na jego szyi jest sprawna. Upewniał się tak co parę minut, bo tumany sunące w oddali wydawały się niezdrowe.

Cofnął się, by sprawdzić efekt pracy. Cmoknął z niezadowolenia, podszedł, stęknął, kucając, sięgnął ręką w głąb szczeliny, docisnął, wstał – który to już raz dzisiaj? Cofnął się... ujdzie. Zupełnie teoretycznie ktoś wciąż mógłby dostrzec urządzenie, które z taką dbałością umocował między skalnymi płytami, o ile patrzyłby dokładnie na nie, miał sokoli wzrok, poruszał się pieszo i podchodził dokładnie z kierunku, z którego podejść wcale nie mógł, bo piętrzyło się tam urwiste, kilkunastometrowe zbocze. Gdyby zaś intruz chciał dojrzeć je z wozu, pędząc prosto na nie po wystających spod piasku płytach wykorzystywanych

tu w charakterze drogi, musiałby z góry wiedzieć, które z setek znaczących szlak szczelin są zaminowane. Może po zmierzchu, o ile miałby widok w podczerwieni... Młody westchnął żałośnie, podszedł jeszcze raz, stęknął, kucając, poprawił. Kurwa, ale upał.

– Kurwa, ale upał. – powiedział na głos, w ostatniej chwili powstrzymując się przez dodaniem wykrzyknika. Czy usłyszał go strażnik kręcący się po szczycie zbocza? Nie, chyba nic z tego. Albo był głuchy, albo Chi już go zdjęła. Nigdy nie można liczyć na tę babę. Ciekawe, czy go zabiła. On by zabił.

Plan to wykluczał. Młody nie miał ze sobą broni – teoretycznie, rzecz jasna. Miny się nie liczyły – ktokolwiek wjedzie na jedną z nich, na pewno zdziwi się, gdy wóz nagle uleci mu w powietrze, fiknie koźła i spadnie na grzbiet – ale raczej nie zrobi sobie krzywdy. Zresztą nawet gdyby ktoś jechał tą drogą, to Młody, jak na złość, miał przykazane, by nie strugać chojraka, tylko się schować. Osobiście wolałby postrzelać i wszyscy o tym, kurwa, dobrze wiedzieli. Dlatego to Chi bawiła się teraz w podchody, a on zastawiał pułapki z góry skazane na kompletny brak przydatności. Harował, gdy inni się bawili. I nawet wiedział, komu to zawdzięcza.



Szczur zawahał się w pół zdania, a wtedy Madhuri przerwała mu.

– Nie możemy tak długo czekać.

– No właśnie, kurwa... – Młody wtrącił się, lecz nie zdążył dokończyć myśli, bo już stała nad nim, wyższa o głowę, silniejsza, lepiej zbudowana, z latami wprawy w spuszczeniu łomotu i żądzą mordu w oczach. Nawet dla Szczura, który nie czuł się pewnie w takich

sprawach, przekaz był jasny – Madhuri nie wchodzi się w słowo, zwłaszcza dzisiaj.

Zacisnęła i rozluźniła pięść, lecz jej twarz ani drgnęła.

– Szczur, mów dalej. A ty Młody zawrzyj krtań.

Szczur sięgnął chudą dłońią ku głowie i rozgarnął rudą czuprynę. Rzucił niespokojne spojrzenie w każdy kąt salki. Po jego stronie była tylko Pejka – drobna dziewczyna wtulona w kąt kanapy i skryta w swetrze dość długim i luźnym, by zmieścić się pod nim jej podkulone nogi. Była to najbardziej nieśmiała osoba, jaką znał; nie miała zwyczaju zabierać głosu, a gwałtowny gest szefowej wyraźnie wytrącił ją z równowagi. Spośród pozostałych Madhuri wątpiła, z Młodym miał na pieńku, a Chi się nie mieszała. Nie, w życiu się nie zgodzą. A przecież to taki prosty plan.

No dobrze, raz się żyje. Wdech, wydech, jazda.

– Odpowiadając na twoją wątpliwość, przewidujemy, że Stachowi w obecnym czasie nic nie grozi. Nie porwali go dla okupu, bo nie zgłosili się do nas. W zasadzie mogliby... – zawahał się znów, bo nie powinien tego mówić, ale stało się, więc brnął – ...w zasadzie mogliby go na przykład torturować, ale wypada uczciwie zapytać: po co. Teraz oczywiście wszyscy śpią, ale wjeżdżając tam bez finezji, pobudzimy ich. Za godzinę, góra dwie, ruszą do miasta, żeby zdążyć przed upałem. Wtedy z kolei my będziemy musieli poczekać, bo w tym klimacie na świeżym powietrzu dostaniemy oparzeń najdalej po czterech minutach. Niewątpliwie jednak należy uderzyć dzisiaj, bo zachodzi ryzyko, że wrócą z miasta pijani, a wtedy wszystko może się zdarzyć.

Madhuri odwróciła się od stołu i zawiesiła wzrok na bulaju. W oddali migotały światła tutejszej metropolii, wszystkie dwadzieścia. Już od paru chwil stopniowo zlewały się z rudobłękitną łuną na widnokręgu – zaczynał się dzień.

– No mów, przecież słucham.

A więc dostał szansę. Madhuri była prosta i jeśli coś jej się nie podobało, mówiła od razu. Stół, nad którym się pochylał, miał wmontowany w blat wyświetlacz. Przetączył go na mapę.

– Zdjęcia są słabe ze względu na wczorajszą burzę. Jednak udało się wydedukować rozkład większości pomieszczeń w obozie. Kompleks liczy siedem kondygnacji i w przeszłości zapewne służył jako...

– Do rzeczy.

Młody nie powstrzymał parsknięcia, na co wszystkie trzy zgromiły go wzrokiem. Szczurowi to nie pomogło – skoro Madhuri nie miała dziś cierpliwości, musiał się streszczać. Jeśli jego wahanie stanie się nazbyt oczywiste... Pejka wysunęła nogi spod swetra, płosząc tym przytulonego do nich kota, i teatralnie pochyliła się w jego stronę.

– Powiedz im o wiatrach. – wygłosiła szeptem i natychmiast uciekła z powrotem w swój ką. Szczur był całkiem pewien, że wszyscy ją usłyszeli. Ale to był dobry trop.

– A tak, wiatry. To szczegół... – zerknął na Madhuri, której wzrok nie odrywał się od bulaju – No więc to mały szczegół, ale może się przydać. Ze względu na miejscową cyrkulację powietrza należy po południu spodziewać się silnych wiatrów. Pejka uważa, że kompleks w tak podłym stanie technicznym będzie generował znaczne tło dźwiękowe. Powinno to umożliwić Chi sprawne przemieszczanie się po obszarze i pozwoli ograniczyć straty po obu stronach.

Cisza. To dobrze. Wdech, wydech, jazda.

– Kompleks jest duży, co działa na naszą korzyść, ponieważ nie ma możliwości, ażeby tutejsi obstawili wszystkie ścieżki. W teorii istnieją dwa wejścia, to znaczy brama wjazdowa tutaj – stuknął w blat, a Madhuri natychmiast odwróciła się do stołu – oraz lądowisko tutaj. Lądowisko jest za małe, żeby tam wylą...

– Damy radę. – Przerwała mu, na co struchlał. To nie był ton dopuszczający dyskusję, a przecież wymierzył wszystko dokładnie.

Spokojnie. Był gotów. Pejka przewidziała ten wariant.

– Lądowisko jest małe, ale damy radę na jeden z dwóch sposobów – lądując, albo też zbliżając się do tej tutaj galerii...

– To jest galeria?

Fakt, zdjęcie nie było wyraźne. Wdech, wydech.

– Pejka uważa, że tak. Dwa piętra nad płytą lądowiska. Powinno dać się przeskoczyć z niej na nasz pokład, jeżeli wisząc na odpowiedniej wysokości, otworzymy boczny lub tylny właz. To może być korzystne, jeżeli Stacha trzymają na wyższych piętrach, co wydaje się pewne, bo niższych nie używają. Ewakuacja tą drogą będzie szybka i bezbolesna, ponieważ pozwoli nam ominąć bramę wjazdową, która wygląda na umocnioną.

– Pytanie. – Madhuri miała wątpliwość, ale domyślał się, jaką.

– Jak to zrobimy, że wejdziemy tam szturmem, z trąbami i notą dyplomatyczną, a oni nie zamordują Stacha, zanim go znajdziemy?

– Unikniemy szturmu. Zadanie mamy utrudnione, ponieważ...

– stuknął palcem w bezkształtną jasną plamkę – ... to jest najprawdopodobniej zupełnie sprawny radar lotniczy. Z tego powodu przylecimy dopiero, gdy Chi i Stach zbliżą się do wyjścia. Zasztyją się najbliżej, jak się da, i poczekają na nas. Chi nie przedostanie się żadnym z oficjalnych wejść, tylko tędy. – Wskazał pomarszczoną ciemną plamę wyglądającą na formację skalną. – Ta skała jest bardzo stroma i sięga powyżej ostatniego piętra kompleksu. On jest w niej, praktycznie rzecz biorąc, wydrążony, chociaż sądzimy, że tak naprawdę był tam krater, który ktoś...

– Do rzeczy.

– ...zabudował. Chi wespnie się po zboczu, dostanie się na dach obozu, a stamtąd do środka.

– A jeśli nie znajdzie wejścia?

– Znajdzie. To jest stara rzecz. Syf, mnóstwo dziur. – Stuknął w blat. – Ten otwór będzie najbliżej. Można też poszukać włazu. A tu, zaraz obok, jest główna klatka schodowa.

– W porządku. Co z bramą?

Szczur nie bez satysfakcji wyszczerzył się na Młodego.

– Tu widzę okazję dla specjalisty. Tu jest, prawda, poniekąd droga. Lawa z wulka... nieważne. Tu jest brama. Tu dziedziniec. Co najmniej cztery boty patrolowe. Na zdjęciach nie widać ich dobrze, ale sądzimy, że to modele latające, a więc zwinne. Zważywszy, że większość personelu będzie poza obozem, te maszyny stanowią największe zagrożenie. Ponadto zachodzi ryzyko przedwczesnego powrotu adwersarzy z miasta.

– Ale pewnie masz plan.

– Mam plan. Minowanie drogi będzie trywialne, ale wiemy – znów się uśmiechnął – że Młody lubi się wykazać. Boty patrolują dziedziniec wewnątrz krateru, przed bramą wjazdową, bo tam adwersarze spodziewają się gości. Jeśli więc razem podejmiemy od tej strony...

Młody nie zdzierzył.

– Nie my, sam to zrobię.

Bardzo dobrze. Teraz to był również plan Młodego. Wdech, wydech.

– Jeśli więc Młody podejdzie od tej strony, to chowając się między tymi skałami, o tutaj, będzie jednocześnie osłonięty i na tyle blisko, żeby zrutować ten złom na miękko. W zasadzie nie będzie ograniczeń czasowych, ale byłoby super, gdybyś uwinął się w kwadrans. Oczywiście koniecznie po cichu. Czy to da się zrobić?

Młody przewrócił oczami, gotów znów wypalić, ale Madhuri nie miała dziś cierpliwości.

– To detal. – wtrąciła bezpardonowo – Wszystko z grubsza wiemy. Na razie wystarczy. Powtórzmy od nowa zamiast obiadu, a teraz idźcie spać.

– Jeśli można...

– Nie można. No już, do wyra. Nie zamknijcie kota, wychodząc.



– Rozumiem. Bez odbioru. – Chi zamknęła okno komunikatora.

Stach przyglądał jej się z wyrazem anielskiej cierpliwości. Należała do nielicznego odłamu preferującego interfejsy wyposażone w przyciski, które pod naciskiem palca wsuwały się lekko w obudowę i robiły cichutkie „klik”, a puszczone – odskakiwały z powrotem. Urządzenie, które miała przy sobie, nie było duże, ale i tak potrzebowała chwili na upchnięcie go w kieszeniach. Czyniła to ze spokojem świadczącym, że w jej opinii wszystko przebiega zgodnie z planem.

– Madhuri pozdrawia. Pójdźmy.

Na te słowa rozejrzył się z rozpaczą po kuchni, beztadnymi gestami wskazując napoczęte dzieło kulinarne. W odpowiedzi westchnęła tak, jak się wzdycha, gdy dzieci psocą.

– Stachu, zlituj siebie... Ty tu jesteś zakładnik, rozumiesz?

Wczuł się w rolę, spuścił głowę i ruszył za nią, powłócząc nogami. Nie zapomniał odłożyć noża na blat. Podążył najlżejszym krokiem, na jaki było go stać, bo Chi ceniła ciszę.

Jednak nie wytrzymała. To było zbyt dziwne:

– Czemu nikt ciebie nie pilnuje?

– To mili ludzie.

– Porywacze.

– Uprzejmi. Poza tym tu nie ma dokąd pójść.

– I ty im obiad gotujesz.

– To mili ludzie. Jak dobrze zjedzą, to im się nastrój poprawi i się dogadamy.

Przewróciła oczami. Stach miał w sobie bardzo dużo wiary.

– Czasu mało. Pójdźmy.

Wyszli na klatkę schodową. Ta część planu była, ku jej radości, bardzo mętna. Pejka nie umiała powiedzieć za wiele o rozkładzie niższych poziomów, przez co Szczur nie miał pola do popisu. Poradził zejść dwa piętra i poszukać przejścia na lądowisko. Ale dwa piętra niżej było już całkiem ciemno. Chi miała co prawda sprzęt, Stach nie miał. Może gdyby wziąć trochę tego pożaru... trzeba by go w czymś zamknąć... jakieś rękawice, żeby się nie poparzyć...

Nie, prościej. W tył zwrot. Stach lojalnie stał za nią i czekał, gapiąc się łagodnym spojrzeniem jednego z tych zwalistych zwierząt żywiących się trawą.

– Stachu, powiedz. Gdzie wyjście?

Błysk w oku, szeroki uśmiech człowieka świadomego swej przydatności. Kciukiem wskazał za swoje plecy.

– W drugą stronę, przez stołówkę. Klatkę nie przejdziemy, korytarze są w gruzach.

– Gdzie lądowisko?

– Trzeba naokoło. Ale oni go nie używają, wszystko wjeżdża i wyjeżdża przez dziedziniec... ach, no tak.

Już miała ruszyć, ale zagroził jej drogę łapskiem, nie dotykając, delikatny jak zawsze.

– Proponuję skok w bok.

– Stachu!

Uśmiechnął się mniej więcej tajemniczo, zatrząsł krzaczastymi brwiami.

– Spodoba ci się.

Czy kiedykolwiek ją oszukał?

– Czasu mało.

– Za to walor poznawczy.

– Madhuri kazała.

– Uri zrozumie. Wyjaśnię jej. To ważne.

Bardzo nie chciała tego spieprzyć. To miała być jej rehabilitacja. Na jej twarzy Stach dostrzegł rozterkę. Błysk w oku, ruch brwi, uśmiech – wiedział, jak ją rozluźnić. Znów ją nabierał, jak zawsze.

– Dokąd?

Wskazał palcem stopy.

– Na sam dół. To jest dokładnie pod nami. – Wyciągnął z kieszeni niewielki przedmiot, na którego widok jej serce zabiło szybciej. To nie była pierwsza z brzegu latarka...

Przedmiot rozjarzył się błękitnym światłem.

– Pozwól, że wskażę drogę.

Cóż za ironia, Stach służący jej za przewodnika! Gdy widziała go po raz ostatni, było odwrotnie. Stacha trzeba było oprowadzać po miejscowych wioskach, bo ich nie znał i zależało mu, żeby tak zostało. Były nazbyt podejrzane i uwikłane w zbyt wiele nie dość szlachetnych uczynków. Sam powiedziałby o nich: dwuznaczne, bo tego słowa używał, gdy nie wiedział, co myśleć. Niewiedza sprawiała mu widoczną przykrość. Może dlatego tak dobrze rozumieli się z Madhuri, choć często się nie zgadzali. Ona też wolała mieć wyrobioną opinię.

Dla Chi takie podejście było nazbyt jaskrawe. Nie po to spędziła lata na włóczędztwie po tym zakątku Stworzenia, by oceniać, segregować i potępiać. Tak można było żyć w jej rodzinnych stronach

i dlatego się stamtąd wyniosła. Tutaj należało być elastycznym. Na przykład ten stary, sponiewierany bunkier, który obrobili kilka dni wcześniej, z pewnością należał kiedyś do kogoś, kto być może zamierzał się o niego upomnieć. Stach argumentował, że należy zostawić go w spokoju w imię szacunku dla zmarłych, choć nie umiał powiedzieć Chi, skąd wie, że ktoś w nim umarł. Madhuri równie stanowczo postulowała, by rozszabrować go w imię postępu. Chi było wszystko jedno, ze wskazaniem na korzyści płynące z wartości rynkowej niektórych rekwizytów.

Tak więc Stach nie chciał zadawać się z tutejszą ludnością bardziej niż to konieczne – a jednak nie zamierzał przegapiać okazji określonego rodzaju. Tutejsza namiastka wolnego rynku dysponowała obfitością dobrego, organicznego jedzenia – bardzo zastanawiającą, zważywszy klimat. Jeśli zaś załoga była w czymkolwiek jednomyślna, to w tym, że od brykietów chciało już im się rzygać. Toteż Chi wyruszyła do miasta obciążona podwójnie – szmelcem z na sprzedaż i Stachem pochłoniętym gorączką zakupów. Nie skończyło się to dobrze.

– Stachu?

– Tak?

– Daleko już?

– Nie.

Większość przejść, które mijali, była zagruzowana. Jednak na dnie szybu było jaśniej niż się spodziewała; z dość przestronnego korytarza, wykutego w skale i wykończonego na odmienną modłę, dobiegało błękitne światło podobne do tego, które Stach trzymał w ręku. Wzmogło się, gdy podeszli. Na końcu korytarza znajdowała się śluza o charakterystycznym przekroju. Jej kontur zdobiły wyszukane rzeźby, których – była tego pewna – żaden człowiek nie wymyśliłby sam z siebie. Przyszło jej na myśl, że jeśli tam wejdą, stracą łączność.

Poznawała tę architekturę. W swej niezbyt długiej, za to bardzo dwuznacznej karierze zwiedziła już kilkanaście podobnych miejsc. Wszystkie były fascynujące.



Zdaniem Młodego interfejsy dotykowe dzieliły się na dwa rodzaje: wojskowe i niewarte uwagi. Dlatego uważał, że obleczenie własnej samoróbki nowoczesną powłoką maskującą będzie zupełnie na miejscu. Nawet jeśli po wieży górującej nad dziedzińcem kręcił się jakiś strażnik, to miał szansę, jakkolwiek nikłą, na wykrycie intruza – ale nie sprzętu.

Boty miejscowych też były samoróbkami i używały masowo produkowanych układów scalonych, jakie można było znaleźć w każdych ilościach na dowolnym śmietniku. Młody nie zniżał się do ręcznych włamów do takiego badziewia. Całą pracę wykonywał automat. A to składało się jeszcze lepiej, ponieważ w tej chwili Młody nie miał czasu.

Szczur był idiotą, niemniej większość jego obietnic spełniła się. Parę minut wcześniej Młody bez trudu przeszedł przez bramę, to znaczy szeroką na kilkanaście metrów wyrwę w kraterze. Dziedziniec był zawalony gruzem i skryty w cieniu zbocza, tutaj znacznie wyższego niż w miejscu, gdzie Młody zastawiał pułapki. Właściwa brama znajdowała się w głębi i była wydrążona w skale, podobnie jak kilkanaście okien, których mieszkający tu chałturnicy nie raczyli nawet przerobić na otwory strzelnicze. Młodemu dało to jasno do zrozumienia, że jak zwykle ma do czynienia z amatorami. Nie zdziwił się więc, gdy zobaczył wszystkie cztery boty krążące po dziedzińcu w ciasnej formacji zdradzającej domyślne ustawienia jednego z popularnych programów

sterujących. Zdziwił się dopiero, gdy tuż za sobą usłyszał ostrzegawcze piski piątej maszyny. O mało nie krzyknął z przerażenia.

Ale bot tylko wisiął w powietrzu i czekał. Młody wywnioskował, że maszyna była na ustawieniach domyślnych, co w przypadku tego programu oznaczało brak połączenia z innymi jednostkami – w przeciwnym razie bot latałby razem z nimi. Domyślna procedura nakazywała dać przeciwnikowi czas na poddanie się. Młody należycie wykorzystał szansę i dał nura między skały.

Maszyna przez dłuższą chwilę nie robiła nic. Wreszcie przeszła w tryb przeszukujący.

Młody porzucił interfejs, ale w uchu wciąż miał słuchawkę. Automat usłużnie informował o postępach prac. Gdy skończy, będzie można zwrócić boty przeciwko sobie, ale stanie się to dopiero za sześć i pół minuty. Osobisty rekord Młodego w chowaniu się przed tanią samoróbką ze śmietnika wynosił dziewięćdziesiąt siedem sekund.

Z prawej strony i z tyłu, bliżej niż się spodziewał, usłyszał buczenie napędu zaakcentowane zgrzytem metalu o kamień. Bot musiał zderzyć się ze skałą i teraz próbował ominąć ją od góry. Młody przylgnął do niej, w nadziei że maszyna wybierze najkrótszą możliwą ścieżkę – na przelaj, prosto nad jego głową, która znajdzie się w martwym polu czujników. Buczenie wzmogło się i przesunęło ponad nim; zza skały wychynęła lufa karabinu, antena, statecznik, korpus... bot był nie całkiem tam, gdzie chciałby Młody, ale dość wysoko, by nie móc go dojrzeć. W pełnej nieświadomości minął go o pół metra i w tempie spacerowym pofrunął dalej, z wolna zniżając lot. Młody przez chwilę czuł pokusę, by przyłożyć mu w napęd z miotacza, ale po dźwiękach w słuchawce wnioskował, że do przejęcia pozostałych maszyn brakowało jeszcze sześciu minut. Standardowy protokół przewidywał, że bot przeleci dalsze kilka metrów, po czym zatrzyma

się i rozpocznie powolny obrót w celu przeczesania okolicy. Struganie chojraka nie miało sensu. Młody jednym żwawym krokiem przesunął się wzdłuż skały z zamiarem zaszcycia się po drugiej stronie. Jeszcze jeden sus i...

Zgrzyt pod stopami. Jebany żwir. Dobrze że śmietnikowe samoróbki nie mają...

Ten bot miał słuch. Zawrócił w ułamku sekundy. Bezpiecznik karabinu przełączył się z głośnym trzaskiem, który w uszach Młodego ułożył się w słowa „gotowy do strzału”.



Przez uchylone drzwi salki wpadało tylko nieco światła z korytarza. Na podświetlonym blacie, na plamie wyglądającej na formację skalną, spał biały kot z czarnymi skarpetami i uszami. Kasjopeja Afrodyta Ornessini nie zapaliła lampy, ponieważ chciała, żeby wszystko zostało tak, jak podczas ostatniego spotkania. Wyszła z niego z przecuciem, którego nie umiała nazwać. Teraz, gdy Chi z Młodym byli już w polu, przecucie wzmagało się.

Zawsze układali plan na dwie raty. Pierwsze spotkanie było zazwyczaj trudniejsze. Nie tym razem.

Lekko ścisnęła w dłoń kartonik wielokrotnego użytku i wciągnęła przez słomkę łyk gęstej zupy – najwyraźniej już ostatni, bo z wnętrza dobiegło siorbanie. Kartonik podobno pochodził z demobilu; Kasjopei trudno było uwierzyć, że żołnierze najadali się taką ilością jedzenia, a ona nie. Być może jedli częściej? Madhuri przetrzymała wszystkich bez posiłku przez cały dzień, bo uważała, że na „misję” należy ruszać na czczo. Kasjopei ten zakaz nie dotyczył, jako że nikt nigdy nie

wysłał jej na żadne „misje” – ale chciała, by pozostali uważali ją za członkinię zespołu, dlatego nie jadła w ich obecności.

Obeszła stół powolnym krokiem, by przypomnieć sobie, kto gdzie siedział. Powtórka planu przebiegała na pozór spokojnie. Kasjopeja pamiętała, że wszedłszy, nie zajęła swego kąta od razu, a wtedy Madhuri poszła tam Młodego, który w efekcie ją podsiadł. Na to Chi ustąpiła jej miejsca i sama stanęła przy drzwiach. Szczur znalazł się za daleko, by mogła mu podpowiadać.

Madhuri i Szczur nie usiedli ani na moment – on tłumaczył, ona chodziła w tę i z powrotem, nie odzywając się. Wszystkie dobre pytania zadała Chi, czym Szczur był wyraźnie speszony. Madhuri nie należała do osób, które tak po prostu pozwalają innym decydować, a choć raczej polegała na tym, co jej proponowali, to zawsze musiała coś zmienić, dla zasady. Tym razem tylko miotła ciężkimi spojrzeniami i pocierała czoło dłonią, mimo że chodziło przecież o jej Stacha.

Czy była roztrzęsiona? Wykluczone. Temperament Madhuri w obliczu zagrożenia przywodził na myśl erupcje wulkanów. Tego, że przejmie stery, można było być pewną. Madhuri powstrzymywała się rozmyślnie, mimo że ją świerbiło. Szczur źle to znosił i Chi też się to trochę udzielało. Kasjopeja nie mogła im pomóc, bo Młody ją podsiadł, a zrobił to..., bo szefowa mu kazała.

A więc Madhuri miała plan w nosie. Może nieświadomie – ale jednak. Była zła na Szczura i Chi, więc zostawiła ich samym sobie – za karę. Popętnili błędy i teraz płacili za grzechy. Ona zaś, niczym sroga matka, porzuciła ich; odrzuciła w najważniejszym momencie życia; pozwoliła, by cierpieli, zamiast przytulić, pocieszyć, wybaczyć, zupełnie jak wtedy, gdy...

Kasjopeja Afrodyta Ornessini znów miała czternaście lat i stała po kostki w śniegu, patrząc, jak wóz prowadzony przez jej matkę oddala

się i wtapia w wielkomięski korek. Trzymała w rękach stos bardzo modnych ubrań, z których żadne nie było zielone, i czuła, jak łyżki ścinają się na jej policzkach. Chciała pobiec za ojcem i matką, i przeprosić goręcej niż zwykle – może tym razem zrozumieją i wybaczą – ale wiedziała dobrze, że nie zdąży, bo wóz pojedzie pod nieznany jej adres, na który dwa dni później spadnie bomba neutronowa.

Pogłaskała białego kota, który przewrócił się na plecy, odstawiając brzuch. Stała w niedoświetlonej, nagrzaney i dusznej salce, w dłoni trzymając pusty kartonik wielokrotnego użytku, z którego wystawała jej ulubiona, różowa słomka. „Misja” domagała się pilnej uwagi: Madhuri mogła przejąć stery w każdej chwili. Kasjopeja odstawiła kartonik na blat i chwyciła w dłonie wzorzystą spódnicę w kolorach pustynnych, by ta nie przeszkadzała jej w biegu.

Dotarła do sterówki na czas. Szczur i Madhuri kłócili się, czy brak odzewu ze strony Młodego zwiastuje kłopoty. Zatrzymała się pod drzwiami, nie chcąc przerywać im rozmowy, która była dopiero w połowie.

– Czekaj, chyba coś słyszę! – Nawet przez drzwi słyszała w jego głosie lęk o losy ukochanego planu.

– Daj na głośnik.

Głośnik milczał. Szczur grał na zworkę. Przeliczy się, pomyślała.

– Chłopcze – głos Madhuri dźwięczał niczym kilogram mrożonego azotu – Gdybyś na wojnie miał taki słuch, to byś wszystkich pozabijał. Nie ma czasu, ruszamy.

Koniec rozmowy, już nie można czekać. Ostry syk mechanizmu otwierającego drzwi odwrócił uwagę Madhuri od konsoli. Oboje spojrzeli wyczekująco, ale Kasjopeja spokojnym krokiem podeszła do kąta i bez słowa klapnęła na fotel astrogatora. Nie czuła się w nim dobrze. Brakowało kota.

Przybrała wyraz twarzy, o którym wiedziała, że jest odbierany jako zdziwienie i nieśmiałość.

– Co się... Dlaczego ruszamy? Mamy jeszcze tyle czasu...

Madhuri natychmiast nawiązała z nią kontakt. Szczur nie; za mało przyglądał się ludziom, a za dużo myślał, zwłaszcza w takich chwilach. Ale chciał dobrze: pozwolił Madhuri mówić.

– Nie ma kontaktu z Chi ani z Młodym.

– To dobrze.

Madhuri zamruwała oczami w zdumieniu. Odmruwała jej.

– To dobrze. – Powtórzyła.

– Dobrze?

– Dobrze.

– No dobrze.

I już.

Szczur przez chwilę wyglądał na zawiedzionego. Powstrzymał się jednak przed użyciem logicznych argumentów i rzucił jej tylko spojrzenie, które roboczo zaszufładowała jako podziękowanie. Uśmiechnęła się do obojga z całą nieśmiałością, na jaką było ją stać.

– Źle mi samej. Jeśli wam to nie przeszkadza, to z wami posiedzę.

Szczęśliwie nie przeszkadzało. W sterówce od razu zrobiło się spokojniej.



Gdy Młody już ochłonął, doszedł do wniosku, że będzie z tego dobra anegdota.

Bot obrócił się i wycelował, ale nie w niego. Karabin wypluł z lufy jęzór ognia, chmurę dymu i głośny ryk, okazując się domowej roboty

samopątem. Spod okolicznych kamieni natychmiast zerwały się roje kompletnie spanikowanych gryzoni, które, wpadając na siebie i kręcąc się w kółko, podjęły szaleńcze i bezładne próby ręcznego oddalenia się w zaciszniejsze strony. Jedynym, który zgłupiał bardziej niż one, był bot. Nie wiedząc, do kogo strzelać najpierw, zaczął latać zygzakiem od skały do skały, celując, w co popadnie.

Najwyraźniej miał bardzo sprawny słuch, tyle że nastawiony na ultradźwięki.

Interfejs Młodego w tym zamieszaniu nie ucierpiał. Sygnały w słuchawce wciąż odliczały.



Stach skonstatował z radością, że w tym pomieszczeniu nie musi się skradać. Bładoniebieskie świetlówki rozmieszczone w równych odstępach na kilku wysokościach sprawiały, że ludzie i przedmioty nie rzucały cieni. Podłoga zrobiona z czegoś miękkiego i gumowatego tłumiła odgłosy kroków. Nie było też pogłosu, bo dźwięki pochłaniała kurtyna z krzewów rozmieszczonych we wnękach na prawie całej długości ścian w kilku rzędach, od podłogi po sufit. Rośliny osadzono na warstwach ściółki nie grubszych niż dwa palce, zaległych na drobnych, metalowych siatkach stanowiących nakrycia szklanych gablot. Korzenie swobodnie wystawały z drugiej strony, lekko przy tym falując, poruszane jednostajnymi strumieniami gazu niosącego drobinki preparatu odżywczego. Wyglądało to jak skrzyżowanie doniczki z akwariem; brakowało tylko latających rybek. Stachowi przyszło na myśl, że mógłby się tu modlić.

Podszedł do interfejsu wbudowanego w nieduży pulpit i przybrał zamyśloną pozę. Oczywiście nie miał pojęcia, jak to obsłużyć.

W sprawach technicznych Stach nie był bynajmniej ułomkiem, ale ten sprzęt był inny. Przerastał go. Właściwie przerastał każdego, wyjąwszy dwie osoby, które znał, w tym jedną dopiero od niedawna. Na szczęście stała tuż obok.

Nie musiał Chi o nic prosić; wskazał tylko palcem gablotę. Podeszła do pulpitu, oszczędnym gestem dając znać, by się odsunął i po chwili namysłu dotknęła kilku niepodobnych do niczego ikon jarzących się na niedużym ekranie. Gablota z niemal niedostłyszalnym sykiem lekko odskoczyła od ściany, po czym wysunęła się na długość przedramienia.

Stach dość gwałtownym ruchem wyrwał ze ściółki coś, co wyglądało jak pęk bardzo grubych źdźbeł niewysokiej trawy zakończony u spodu pomarańczową kulką. Odwrócił się ku Chi i chciał coś powiedzieć, lecz nie zdążył, bo jej oczy już rozbłyły, a na twarzy wykwitł uśmiech od ucha do ucha. Wyrwała mu krzaczek z rąk i zabrała się do krojenia: najpierw padł na podłogę szczypior, a zaraz po nim zewnętrzne warstwy cebuli. Nie miała cierpliwości obrać całej – zamiast tego odkroiła kawałek i wpakowała do ust, jakby to miał być jej ostatni posiłek. Chrupnęła kilka razy i przez chwilę po prostu stała, delektując się, na wpół przymknąwszy zażawione oczy. Gdy już przełknęła, złożyła na policzku Stacha siarczysty pocałunek.

Sam też się uśmiechnął i z rosnącą przyjemnością obserwował konsumpcję. Dla takich chwil warto było tłuc się po Stworzeniu z tą nieszczęsną dzieciarnią. Szkoda, że Młody i Szczur nie okazywali radości tak ładnie jak Chi, a to biedactwo, Pejka, nie cieszyło się wcale. O ciała dbali byle jak. O ducha – szkoda gadać. Po obiedzie nie mieli czasu na rozmyślanie. Zdawkowo dziękowali i biegli do swoich spraw, ledwie znajdując czas na odłożenie słomek. Jedna Chi nigdy się nie spieszyła, ale i jej nie był w stanie przemówić do serca, bo tylko uśmiechała się

z niewinnością dziecka i tłumaczyła pokracznymi zdaniami, że brak jej właściwego słownictwa. Cóż, uczyła się szybko. Niedługo będzie mogła zacząć czytać święte pisma.

Jak to dobrze, że dał się porwać. Młodzi ludzie z pustyni okazali się miłą odmianą – ufni, spragnieni objawień, chłonni niczym gąbka. Po bliższym poznaniu ujrzał ich nie tak dwuznacznymi, jak oczekiwał. Co prawda dysponowali przerażającym w swym rozmiarze składem bimbru, zaś w kwestii pism wystarczały im świerszczyki wyświetlane rzutnikiem na ścianie jadalni, lubili obnosić się z własnej roboty samopałami rodem z jakiejś zamierzchłej Moderny, ale gdy przyszło co do czego, nie umieli go skrzywdzić. Jedynie zagrozili, że go nie wypuszczą, póki nie da im tego, czego szukali. Oczywiście nie uwierzyli, gdy wyznał niewiedzę, jednak nie próbowali go przesłuchiwać, wiązać, zastraszać. Na zmianę żądali i prosili, ufni w siłę argumentów. Stach zwykł sądzić, że wszyscy im podobni wyginęli na wojnie. Cóż, to było dawno, może już odrośli.

Ze smutkiem skonstatował, że ich zawiódł. Obiecał ugotować dobry obiad, ale Chi przyszła po niego wcześniej niż założył. Kolejna złamana obietnica do kolekcji.

Chi nie skończyła jeść, nim zaczęła mówić, co w połączeniu z jej ciężkim akcentem czyniło ją trudną do zrozumienia. Okazał zainteresowanie życzliwym uśmiechem.

– Stachu... dlaczego ty mnie kupujesz?

Cóż mógł na to powiedzieć? Potrzebował jej. W tym podziemiu było jeszcze pięć takich komór, a ci mili młodzi ludzie nie mieli pojęcia, jak się do nich dostać. Gabloty, do których mieli dostęp, stopniowo traciły przydatność, bo nie wiedzieli, gdzie dosypuje się preparatu. Trzeba było coś na to poradzić.

– Masz absolutną rację. Błagam o wybaczenie. Ile mamy czasu?

Spojrzała na nadgarstek. Zmarszczyła brwi.

– Sześć minut. Spóźnienia.

– Trudno. Zrobimy to szybko. – Szerokim uśmiechem wygnał panikę z jej twarzy – Uri biorę na siebie.

Chwytał w dłonie i roztarł grudy wilgotnej ściółki, która szybko zmieniała się w gęste błoto.

– Ty mi dyktuj, a ja będę pisał.

– Pisał? Takimi łapami! Interfejsa nie zostawię!

Na to zadartł głowę w geście udawanej wyższości, uniósł dłoń i wyprostował palec.

– Uwaga, teraz będą czary.

I zaczął mazać dłonią po ścianie.



Statek miał bardzo mało bulajów, bo budowniczym nie zależało, by pasażerowie podziwiali widoki, lecz by bezpiecznie przemieszczali się pod ostrzałem. Dlatego Szczur chętnie zaszywał się w kopule artyleryjskiej na burcie statku – przeszklonej, wystającej z obrysu kadłuba i całkiem przestronnej z racji wymontowania z niej przyrządów. Nadto zaletą była izolacja – dochodziło się tu kiszka długości dwóch metrów, w której dorosły człowiek nie mieścił się wyprostowany. Szczur cenił święty spokój i widoki, piękne zwłaszcza w takich chwilach jak teraz, gdy zachodzące słońce kładło na pustynnych wydmach widowiskowe cienie. Żałował jedynie, że termochłonna powłoka kopuły zniekształcała kolory.

Spodziewał się w każdej chwili usłyszeć brzęczyk sygnalizujący otwarcie głównego włazu, a zarazem obwieszczający powrót Stacha

i Chi z zakupów, po które wyszli do miasta. Wyczekiwał ich niecierpliwie, w międzyczasie przygotowując skrypt, który już zaraz miał się bardzo przydać. Brzęczyk wreszcie zabrzmiał, ale jako pierwsza wizytę złożyła mu Madhuri.

Wyglądała groźnie nawet zgięta w pół. Łypnął na nią spode łba, nie przerywając pisania, w nadziei że sobie pójdzie i pozwoli dokończyć robotę. Stało się jednak coś przeciwnego – jednym płynnym ruchem przesadziła próg, wparła plecami w kopułę, zamknęła służę wejściową i wyciągnęła nogi, odbierając mu większość przestrzeni. Nagle poczuł się osaczony. Zapraagnął wyjść, ale Madhuri odgradzała go od zamkniętego włazu, a jej dłoń spoczywała na konsoli sterującej.

Zaczynał żywić obawę, że nabroił.

– Postaram się mówić zwięźle. – Jej głos był chłodny, pochmurny, ze słyszalnym pomrukiem zbliżającej się burzy śnieżnej. – Za chwilę dostanę szatę na myśl o tym, co nawyprawiałeś, więc bądź tak dobry i nie graj na zwłokę.

O tak. Nabroił. Odłożył interfejs.

– Dziś rano posłałam Stacha do wioski, po żywność. Chciałeś, żeby poszła z nim Chi, tak?

Chciał.

– Stach wrócił ze skrzynką żywności, tak jak mu kazałam. Chi wróciła ze skrzynką złomu, inaczej niż kazałam. To była twoja sprawka, tak?

Była.

– Godzinę temu ponownie posłałam Stacha razem z Chi, żeby przynieśli drugą skrzynkę zapasów. Chi wzięła szyfrowaną kartę pamięci i nie mów mi, że nie, bo widziałam i czujnik na wyjściu też widział. To też twoja sprawka, tak?

Istotnie.

– Przed chwilą Chi wróciła sama z takim – rozsunęła palce – siniakiem, bez skrzynki, bez Stacha, i powiedziała, że go porwali. Co możesz mi o tym powiedzieć?

Nie wiedział. Zdębiał. Nie prosił Chi o udział w bójkach.

– Gadaj. Zanim. Stracę. Cierpliwość. – Madhuri powiedziała to z kamienną twarzą żołnierza, który już wiele razy musiał zachować spokój, gdy nie miał na to ochoty. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Nie miał pojęcia, co się stało. Nie taki... no tak.

– Nie taki był plan.

Przymknęła oczy i westchnęła z rezygnacją. Przez chwilę było widać jej lata, jej dawno zagojone rany, jej blizny, jej wszystkie zmarszczki – całą sumę dwóch dekad stresu i służby. Szczur czuł się od tego bardziej winny, niż gdyby na niego nakrzyczała.

– Chcieliśmy... chcieliśmy naprawić komorę. Chi próbowała mi pomóc. Przepraszam.

Nie był pewien, czy usłyszała cokolwiek poza ostatnim słowem. Może to lepiej.

– Co było na karcie?

– Kody dostępowe do komór kultywacyjnych.

– Po co?

– Na wymianę. Ci ludzie muszą taką mieć, ale bardzo wątpię, by wiedzieli, co z nią zrobić.

Oni też kiedyś nie wiedzieli. Nikt nie wiedział. W całym tym sektorze regularnie znajdowali podobne miejsca, ale wszystkie były stare, uszkodzone i na ogół rozszabrowane. Budowle różniły się zastosowaniami, a część z nich zupełnie zbijała ich z tropu, ale te służące do hodowli spotykali najczęściej. Większość urzędów nauczyli się wymontowywać bez dalszego uszkodzania.

Żyli z tego, że znajdowali kolejne komory i wyciągali z nich, co się dało. Zaglądali w miejsca, które nikomu innemu nie przychodziły do głowy, głównie dzięki Chi, która miała niezawodnego nosa. Tak wreszcie trafili na komorę kultywacyjną, w której co prawda nic nie rośło, ale wszystkie podzespoły działały. Stach z miejsca zasadził ostatniego pomidora. Po tygodniu zrobił im wielki gar zupy. Po tygodniu! Budowla – właściwie schron zagnieżdżony w dnie jaskini – była niedokończona. W kilku pomieszczeniach brakowało sprzętów, a generator dysponował zapasem mocy.

Mogli komorę sprzedać, chętnych byłoby wielu. Mogli urządzać się dostatnio na resztę życia we Wspólnocie lub Federacji. Mogli optać, kogo trzeba, i wyczyścić kartoteki. Mogli kupić nowe tożsamości. Wybrali Gwiazdy Niczyje.

To jednak wymagało od nich zrozumienia zasad rządzących tą dziwną, tak odmienną, wymykającą się logice technologią. Nauka kosztowała ich wiele wysiłku i wciąż brakowało im kilku elementów. Głównie sprzętowych, ponieważ komora pewnego dnia zepsuła się i od tego czasu jechali na brykietach, jak wszyscy.

Trochę się zagapił i nie od razu dostrzegł, że Madhuri patrzy na niego jak na idiotę.

– Dziecko drogie, dwie sprawy. Po pierwsze, jesteśmy trzy godziny świetlne od szlaku Crites – Runya. Oni to wszystko mają z importu.

Nie mieli. Nie mogli. Sprawdził już próbki. Nie odważył się odezwać. Musiał mieć rację!

– Po drugie, to są tutejsi. Od tutejszego możesz kupić główkę kapusty, ale nie robisz z nim poważnych interesów, bo zawsze wytnie ci jakiś numer.

Pejka powiedziała mu z grubsza to samo – może mają części, których potrzebujesz, ale nie uwierzą ci, że masz kody. A jeśli uwierzą, to

będą chcieli wziąć kody i zachować części. Pejka wspomniała też, że ci ludzie nie są źli, tylko bardzo doświadczeni przez życie, dlatego uznał, że warto zaryzykować.

Pomyślał, że po takiej wpadce nie ma już czego szukać na tym statku. Madhuri wyrzuci go na zbity pysk, jak nic.

Nabrał powietrza w płuca. Musiał wziąć się w garść.

– Wzięli kody?

– Nie, Chi im nie dała. Ale wzięli Stacha!

– Po co?

To było złe pytanie. Oczekiwała od niego, że się domyśli. Chciała też, by zapytał o Stacha, a nie o kartę. Los Stacha był znany w odróżnieniu od losu karty, ale chodziło o zasadę.

– Widzę to tak. Jeżeli tobie i Pejce dobrze się wydaje, to właśnie pakują go do tej swojej komory i próbują zmusić, żeby objaśnił im jej działanie. Jeżeli zaś się mylicie, to właśnie podrzynają mu gardło i organizują żądanie okupu, bo przecież jak ktoś umie obsłużyć rzeźby i się z tym nie kryje, to musi być najbardziej dzianym gościem w Stworzeniu, a ponadto ostatnimi frajerem i da każde pieniądze za swojego kumpla, ty idioto, ty!

Walnęła pięścią w konsolę, otwierając tym służę, ale zaraz opamiętała się i zniżyła ton.

– No. To tyle. To ja pójdę powściekać się gdzie indziej, a ty wymyśl jakiś plan ratunkowy.

Wyszła, zostawiając go samego w kopule. Po paru minutach stątek drgnął, oderwał się od powierzchni i rozpoczął wspinaczkę ku czarnej otchłani Stworzenia. Szczur został na miejscu jeszcze długo potem, by uporządkować myśli, lecz na widoku z kopuły już nie był w stanie się skupić.



Kurwa, ale upał.

Kieszeń plecaka, w którą Młody wrzucił miotacz, była przewidziana na karton z wodą. Teraz chciało mu się pić i miał przez to paskudny nastrój, co się poniekąd dobrze składało, ponieważ takie usposobienie zwykle skłaniało go do rozwiązań siłowych.

Wszystkie boty na dziedzińcu, wliczając niewydarzonego łowcę szkodników, chodziły pod jego dyktando. Dla niepoznaki wykonywały stary program, ale Młody właśnie pisał do niego poprawki. Ktokolwiek wykonał te samoróbki, był jednocześnie geniuszem i debilem. Maszyny miały autorski, tworzony od podstaw i całkiem sprytny algorytm nawigacji. Młody oczywiście przepisałby go, aby działał znacznie wydajniej, ale podobąca mu się idea. Jednak już algorytmu bojowego tych samych botów nie powstydziliby się najgorszy pacyfista – prawdopodobieństwo zrobienia z ich pomocą krzywdy wrogowi nie odbiegało znacząco od zera. Po stylu kodu dawało się poznać, że oba moduły wyszły spod tych samych dłoni. Młody mógł sobie tylko wyobrażać, że pewnie któregoś dnia tutejsi porwali kogoś podobnego do Stacha, kto zmuszony do zmontowania botów postanowił uczynić je nieszkodliwymi, ale tak, by nie wzbudzić podejrzeń oprawców. Brawo dla tego pana. Szkoda tylko, że przez niego Młody miał teraz więcej roboty.

Nie zamierzał przecież stać i przyglądać się, jak Chi i Madhuri odwalają całą robotę. Plan mówił, że pierwsza z nich, znalazwszy Stacha, uda się na lądowisko położone po zewnętrznej stronie krateru, oddalone od tego miejsca o jakieś dwieście metrów. Druga natomiast miała podbić tam statkiem, zabrać uciekinierów na pokład i odlecieć w siną dal. Do tego czasu Młody miał już być z dala od dziedzińca,

w miejscu, gdzie zostawił łazik. To był dobry plan na papierze, ale zupełnie bzdurny w praktyce. W kompleksie byli wrogowie, Chi była wśród nich zupełnie sama, a przecież Młody mógł pomóc.

Przełączył interfejs na widok z kamery jednego z botów. Rysunki kontrolne nałożone na przekaz wideo wskazywały mu, które obiekty ruchome w zasięgu czujników są rozpoznawane jako wrogowie. Jeden prostokąt obejmował uzbrojonego strażnika stojącego powyżej górnej krawędzi bramy, w pomieszczeniu będącym najpewniej wartownią. Nieco bardziej w prawo i powyżej wyglądała z okna inna członkini bandy; algorytm ją również obrysował prostokątem. W sumie jak dotąd Młody naliczył pięć osób, choć tylko te dwie były obecnie na widoku. To stwarzało pewien problem.

Sprawdził baterię. Szczur już mu kiedyś wyciął taki numer, że podmienił moduł bojowy na ogłuszający. Tym razem wszystko się zgadzało, co stwierdził kilka minut wcześniej, gdy podłączył baterię do miernika. Wolał się jednak upewnić.

To była dobra broń, ale jeśli Młody wiedział coś o życiu, to właśnie to, że nie usmaży pięciorga obrońców, zanim oni usmażą jego. Potrzebował przewagi taktycznej, a tę dawały mu boty, które nie tylko miały broń, jakkolwiek prymitywną, ale też mogły latać. Musiał tylko przerobić je z chujowych na mordercze.

Dużo zależało od Chi. Jeśli nie zamarudzi, jak zwykle, lecz wykona zadanie sprawnie, to zgłosi się zanim Młody zdąży wprowadzić poprawki. Wtedy wszystko potoczy się zgodnie z planem, na dobre bądź na złe, a cała zabawa odbędzie się gdzie indziej. Wszakże nikt się nie dowie, że Młody zażył nieco swobody, a on nikomu się nie przyzna. Jeśli jednak zdąży zrobić swoje, to zgotuje frajerom przykrą niespodziankę. To przykuje ich uwagę i uprości zadanie Chi. Młody wykaże się inicjatywą i sprytem i może wreszcie, kurwa, ktoś to doceni.

Dłoń lekko zadrżała, gdy zatwierdzał procedurę wprowadzenia nowej wersji programu – ale stało się. Transfer niestety musiał potrwać. Pozostawało czekać na sygnał do ataku.

Kurwa, ale upał.



Swąd spalenizny snuł się po całym piętrze.

Stołówka była pusta.

Kuchnia też.

– Mit! Miiit!

Z górnej strażnicy dochodziło tylko wycie wiatru. Mit nie odpowiadał. Nie zapalił lampy w szybie, a przecież zaraz miało zrobić się ciemno. Coś było nie w porządku.

Rzut okiem ku dnu – światło! Ktoś wdarł się do skarbcza. Ukradnie zbiory! Szybki trucht po schodach na dół, nieważne, że hałas.

Mechaniczny hurgot od strony skarbcza. Żeński głos? Szepty? Słuch znakomity, ale nie takie rzeczy już się ludziom wydawały.

Spokojnie. Powoli. Karabin w dłoniach, kolba oparta o bark. Trzymać się ściany, jak na treningu.

Wrota skarbcza były otwarte. Jaskrawy blask, jak nigdy wcześniej, oczy nieprzywykłe. Widok zapierał dech – sześć sal, wszystkie otwarte, czyżby sen? To przecież niemożliwe, tyle razy już próbowali. Zawrót głowy, trzeba się oprzeć, ale wizja nie znikła. Czyżby kroki po prawej?

– Chłopcze, pozwól na chwilę – Nie, to z lewej. Niski głos, znany – zakładnik. Broń w pogotowiu, na wszelki wypadek.

– Co tu się dzieje?!

Zakładnik stanął w drzwiach i rozłożył ręce, wnosząc oczy ku sufitowi.

– Nie mam pojęcia! Chwalmy Stworzenie, jego łaska sprzyja prawym! Zszedłem tu z ciekawości, a to już tak było! Chodź, zobacz!

– Zakładnik odwrócił się plecami, jakby to nie karabin był w niego wymierzony, lecz rysik. – Muszę ci coś pokazać.

Krok za krokiem, ostrożnie – to głupie, ale instynktu trzeba się słuchać. Obrót w prawo, obrót w lewo, dlaczego panel dużej konsoli jest zdjęty? W komorze było sterylne i cicho, wszędzie dookoła rzędy pustych gablot, a w nich nagie ściółki bez jednego źdźbła. Minie z miejąc, nim to wszystko obsadzą, ale wreszcie nikt nie będzie głodny – ani tu, ani w mieście. Czyżby sen? Nie koniec zdziwień – ściana naprzeciw wejścia wysmarowana koślawym, odręcznym pismem. I... n... stru... kcja... tak, to na pewno sen.

– Kolego, tutaj. – Zakładnik pomachał ręką, palce miał brudne. – Sam tu jesteś?

– Co... tak. Obchód...

– To dobrze. Słuchaj, wszedłem tu zupełnie przypadkiem i wyobraź sobie, że zupełnie nic tu nie było! Ale jestem pewien, że zrobicie z tego miejsca dobry użytek. Popatrz, wszystko się pootwieralo, więc chyba już nie jestem wam potrzebny, prawda? Mogę iść.

– Tak... nie! Stój! Dokąd?!

– Nie czuję się zanie w takiej głębi, obiad się pewnie przypalił. Wyjdźmy stąd, dobrze?

– Stój!

Twarz zakładnika nagle posmutniała. Spojrzał prosto w oczy, chciał coś powiedzieć – ale wtem widok pociemniał, czaszka wybuchła bólem, pion uciekł, podłoga rzuciła się w ramiona. Trzask karabinu uderzającego o podłogę, na to straszliwy huk i gwizd rykoszetu.

- Czemu to zrobiłaś?
- Powiedział, że jest sam.
- To miły człowiek!
- Miły człowiek ze samopałem! Masz, trzymaj.
- Co to?
- Jednostka centralna. Na naprawę. Szczur chciał.
- Jak oni bez tego będą...
- Nie będą. Wszystko otwarte. Można używać. Tylko nie kierować.

Idziemy.

- Czekaj, chyba się podnosi, możesz go przepro...
Ciemność.



- Mówi Młody, słyszałem eksplozję, powtarzam, słyszałem eksplozję!

- Rozumiem. Widać ruch?

- Tak, ktoś pobiegł w tamtą stronę. Drugi coś majstruje przy nadajniku. Troje strzelców na niższych poziomach.

- Wezwą swoich z miasta. Wycofaj się natychmiast.

Rzut oka na interfejs. Postęp przesyłu: 99,8%.

- Mam lepszy pomysł. Mogę wziąć te...

- Wycofaj się!

- Rozumiem. Bez odbioru.

Transfer danych zakończony. Jeszcze tylko inicjacja i zacznie się zabawa.

Wycofaj się. Takiego wata.



– Zamknij drzwi. – Chi ponieważśbie przypomniała sobie, że to niemożliwe. Cała instalacja była teraz na stałe zablokowana w bieżących ustawieniach.

Trudno. Na dnie szybu walało się dużo gruzu, było się gdzie schować. Ale miejsce fatalne, praktycznie ślepy zaułek. Machnęła ręką na Stacha, który podbiegł, sapiąc. Nie był szczęśliwy.

– Siedź tu.

Pokiwał głową i przylgnął do spiętrzonych śmieci. Chi zerwała się i w dwóch skokach była na schodach. Zdążyła minąć dwa piętra, nim usłyszała głosy. Tutejsi byli kolejne dwa piętra wyżej, nawoływali się, było ich chyba troje. Nadal żadnych rozwidleń, wszystko zawałone gruzem.

Trudno. Zwróciła miotacz w stronę głosów i wznowiła wspinaczkę. Gdy mignął jej w drzwiach kontur czyjejś głowy, zadziałał odruch – miotacz zabuczał, niewidoczna wiązka trafiła w ścianę i rozproszyła się w głośne, niskie łupnięcie. Usłyszała wyraźnie, że przeciwnik schowany w korytarzu przestraszył się.

To dobrze.

Dla lepszego efektu wypaliła jeszcze dwa razy i ruszyła znowu. Galeria na kolejnym piętrze była w dobrym stanie, ale ta nad nią – już nie. Tuż obok drzwi, w których zobaczyła przeciwnika, ziata w podłodze wielka dziura. Sama stała piętro niżej, obok zawałonego korytarza obecnie stanowiącego głęboką na raptem pół metra wnękę.

– Teraz! – Trójka przeciwników równocześnie wdarła się na klatkę schodową. Jeden tuż nad nią – miała go jak na dłoni, bo podłogą była stalowa krata. Za nim już wyłaniała się z drzwi kolejna lufa. Trzeci przeciwnik był jeszcze piętro wyżej, wyskoczył z kuchni. Tych

dwoje niżej podbiegło do barierki i zaczęło strzelać na oślep w dół, gdzie popadło, czyniąc przy tym piekielny hałas. Trzeciego zagłuszyła kanonada.

Jeśli trafili w Stacha, to przypadkiem. Jednak nie należało lekceważyć przypadków. Ich ewidentnie morderczy zamiar rozgrzeszył ją w jej własnych oczach i wypaliła w tego z dwóch przeciwników, który stał trochę dalej.

Wiązka oderwała go od podłogi na pół metra. Szczęśliwie nie przewinął się przez barierkę, lecz wyrznął w nią czołem i osunął się bezwładnie na kratę. Niskie tupnięcie rozeszło się na wszystkie strony, przewracając drugiego przeciwnika, a ją samą przyprawiając o dzwonięcie w uszach. Odpowiedział jej wystrzał z góry i gwizd pocisku. Schowała się we wnęcie. Jeden z dwojga trafionych przeciwników oberwał nie dość mocno, bo pełzał niemrawo, próbując wymacać samopał. Trzeci poszedł za ciosem: wystrzelił, potem znów, i znów, niepomny ryzyka trafienia kolegów.

Niedobrze.

– Poddaję się! Poddaję! – Stach.

– Wyłaż z łapami na wierzchu pajacu jeden, ale tak, żebym cię widział!

– Poczekaj, mam latarkę, zapalę!

O tak, poświeć mu w oczy.

Na ścianie pojawił się błękitny okrąg.

– Widzisz mnie? Nie mam broni! Puste ręce!

– Chono tu, tylko powoli!

Błękitny okrąg roztańczył się na ścianie. Usłyszała z dołu miarowe, ciężkie, powolne kroki.

Na wpół ogłuszony przeciwnik uniósł się na rękach i spojrzał prosto na nią.

Wystrzeliła centralnie w korpus, zapewne łamiąc gościowi kilka żeber. Nie miała czasu się przyglądać – płynnym ruchem wyskoczyła z wnęki i skierowała miotacz w górę, gdzie snop latarki spoczywał wprost na przeciwniku stojącym w wyjściu z kuchni.

Zdążył wystrzelić, ale miała nad nim przewagę, bo nie w nią celował. Nacisnęła spust jeszcze raz.

Obaj przeciwnicy opadli na podłogę w tym samym momencie.

W dole Stach krzyczał z bólu.



Widoczność pogarszała się w oczach, wiatr przybierał na sile, a między gruzem snuły się kłęby piachu. Sporo tego syfu było też w powietrzu. Młody upewnił się, że wciąż ma na szyi maskę.

Pomimo warunków był w stanie dojrzeć wszystkich czworo frajerów. Kulili się przy oknach, najwyraźniej niepewni, czy wypatrywać napastników, czy chować się przed nimi. W efekcie ani nie mieli dobrego widoku, ani nie byli dobrze schowani. Młody przez chwilę wahał się, czy nastawić komunikator na nadawanie – ale tylko przez chwilę. Chciał mieć świadków.

Wymierzył do celu, który był najniżej. Głośny, suchy trzask rozszedł się po dziedzińcu, a na linii strzału zamigotały rozgrzane drobiny kurzu.

Nie trafił.

Frajerzy odpowiedzieli natychmiast – zasypali go huraganem pocisków, korzystając z podpowiedzi, jaką dała im smuga. Młody stracił orientację, skulił się, a cel zszedł mu z muszki. Gdy już chciał znowu wymierzyć i strzelić, rykoszet odłupał kawałek skały tuż obok,

a odłamek boleśnie drasnął go w rękę. Młody schował się znacznie szybciej, niż się wychylił.

Ochłonął, gdy strzały ustały. Kątem oka zobaczył, że ktoś wyskoczył przez okno i pobiegł pomostem ciągnącym się wokół dziecińca, łączącym główny kompleks z wieżą. Młody nie marnował czasu na dalszą wymianę ognia, lecz sięgnął po interfejs i wydał botom komendę ataku.

Ktoś coś krzyknął i przeciwnicy znów zaczęli strzelać, a ten odważny, co wybiegł, zeskoczył na grunt i schował się za jednym z licznych głazów. W tym samym momencie boty ożyły, uniosły się metr nad ziemię i natychmiast podjęły procedurę likwidacji. Boty były cztery, zadaniami podzielily się równo. Ich piąty kolega błąkał się po terenie bezmyślnie, najwyraźniej nieświadom zachodzących tu zdarzeń, radośnie zajęty jedyną rzeczą, którą umiał, czyli nasłuchiowaniem ultradźwięków.

Młody używał dobrego programu, sprawdzonego w licznych testach. Boty wycelowały bezbłędnie i otworzyły ogień.

Przeciwnicy nie przestali strzelać. Któryś się nawet roześmiał. Młody nie miał czasu rozmyślać nad tym, co mogło mu umknąć, bo odważny koleś wychylił się z kryjówki i już biegł ku następnej. Młody wymierzył do niego i strzelił raz, drugi, trzeci. Chojrak biegł dalej.

Kolejna seria strzałów dobiegła zza pleców Młodego – aż krzyknął z zaskoczenia. Oderwał się od swej pozycji, przebiegł kilka kroków i runął między dwa duże kamienie, przywierając brzuchem do gruntu. Komunikator wypadł mu zza pasa – ale interfejs wciąż miał w dłoni. Serce waliło, w uszach szumiało, piach drażnił nos i gardło. Już nie do końca wiedział co robi, nogi same poderwały go do pionu. Wychyliwszy się zza kamienia, zobaczył dwie dziewczyny, które biegły prosto na niego – później przypomniał sobie, że

jedna miała bujne blond włosy do ramion. Wystrzelił w ich stronę wszystko, co miał w baterii, raz za razem, aż powietrze zgęstniało od dymu i smrodu prażonego piachu. Dziewczyny schowały się za czym popadło, na co on sam też dał susa w bezpieczniejsze miejsce. Tam jednak był już odważniak, nie całkiem gotowy na to spotkanie, więc zaskoczenie i szanse były równe po obu stronach, jednak to Młody był bardziej wystraszony, więc zamachnął się szybciej. Trafił w bark groźnego człowieka rozgrzanym od kanonady emiterem miotacza. Ofiara wrzasnęła z bólu i zgięła się w pół. Młody skorzystał z okazji i rzucił się galopem w stronę skalnej bramy.

Nie dobiegł, nim czwarty przeciwnik wystrzelił. Młody upadł na ziemię i poczuł, że nie może złapać tchu.



Sterówka nie miała okien. Umieszczono ją z dala od burt. Dostatek wyświetlaczy rozklejonych na każdej wolnej powierzchni umożliwiał podgląd otoczenia za pośrednictwem kamer i czujników. Wszakże na taki zbytek Madhuri w trakcie misji nie pozwalała.

Autopilot pracował bez zarzutu. Zostało jeszcze piętnaście kilometrów. Ochraniacze na nogach, rękach i korpusie leżały dobrze, podobnie jak hełm na głowie. Miotacz był naładowany. Na myśl o nim Madhuri sięgnęła do bezpiecznika, targnięta nagłą pokusą, by przestawić broń na pełne zasilanie. Wiązka emitowana na tym ustawieniu z łatwością rozrywała ludzkie ciało na strzępy. Jednak dłoń cofnęła się i spoczęła znów na kolbie. Madhuri miała swoje zasady i skoro na wojnie ich przestrzegwała, to teraz tym bardziej.

Czternaście kilometrów. Czy jej Stach jeszcze żyje?

W jednej chwili myślisz, że prowadzisz spokojny, udany biznes, w następnej jakaś pierwsza z brzegu banda gówniarzy obraca twój świat w gruzy.

Trzyście kilometrów.

– Madhuri, ja cię proszę, posłuchaj mnie jeszcze ten jeden raz.

Gówniarz zwany Szczurem odziany był w sprzęt podobny do jej własnego. Nosił go niechlujnie. Miotacz trzymał, jakby to była słońka. Włosy miał w nieładzie, powinien się ostrzyć.

– To twój własny plan. Chcesz powiedzieć, że się rozmyśliłeś?

Dwanaście kilometrów.

– Nie. Plan jest dobry, ale zakładał okoliczności. Jest inaczej.

Nie tak miało być. Zaiste.

– Widzisz, i dlatego nie robię planów. Nigdy nie wiesz, co się wydarzy.

Chłopak otworzył i zaraz zamknął usta. Słabości skrywać nie umiał. Był tu sam, bo ta wariatka wybiegła z płaczem, gdy tylko z głośnika dobiegły pierwsze wystrzały.

– Idź do włazu, przygotuj się. Zmierzamy na tylne lądowisko, tak jak obiecaliśmy Chi.

– Ale jej tam nie będzie! – Madhuri chciała na niego huknąć, ale chyba od samej jej miny poczuł się niedobrze, bo kucnął. Kucnąwszy, spojrzął jej prosto w oczy. Zrobił wdech i wydech. Dziesięć kilometrów.

– Słuchaj. Wiesz jaki jest Młody, no nie?

Młody zapewne był już trupem.

– I wiesz jaka jest Chi, no nie?

Chi była posłuszna, w odróżnieniu od pozostałych.

– A jaki jest Stach?

Stach był dziewięć kilometrów stąd. Być może żywy.

– Madhuri, posłuchaj... co zrobi Stach, jak się dowie, że Młody ma przesrane?

Osiem kilometrów.

Siedem.

Sześć.

Walnęła kontrolkę sterowania ręcznego mocniej, niż było potrzeba. Wyświetlacze łagodnie ożyły, pokazując przemykającą pod nimi pustynię. Krater był widoczny jak na dłoni, choć jego podstawę skrywała piaskowa mgła. Pomieszczenie wpadło w łagodne wibracje. Madhuri chwyciła drążek, a wolną ręką wprowadziła nowe parametry.

Szczur bez słów zerwał się i wybiegł ze sterówki.

Gdyby to ona była na miejscu Stacha, zostawiłaby Młodego w tej zupie. Ale Stach nigdy nikogo nie zostawiał. Rozkazy Chi należało uznać za odwołane w momencie, w którym powiedziała ostatnie „bez odbioru”.

Ta załoga powinna była pójść do piachu już dawno temu.



Gdzieś tam w dole dziesięć osób, może więcej, było bliskich śmierci. Ten jeden fakt wypełniał jej świadomość. Śmierć i strach. Strach i śmierć. Śmierć i strach. Do dziesiątej potęgi.

Na swoje nieszczęście, Kasjopeja Afrodyta Ornessini postrzegą świat w większym detalu niż ktokolwiek.

Strach i śmierć. Śmierć i strach. Strach i śmierć. Śmierć i strach! Strach i śmierć!

Przez mgłę, zza siedmiu mórz – troskliwy głos, ktoś ukląkł na podłodze; szelest materiału i STRASZLIWY SZCZĘK POTWORYCH NARZĘDZI

MORDU UDERZAJĄCYCH GROMKO O SIEBIE NAWZAJEM ZAPOWIEDŹ
NAJGORSZEGO PRZERAŻENIE I ZGON ZGON I PRZERAŻENIE...

Puszysty dotyk mruczającej kotwicy rzeczywistości. Poblady człowiek w niedopiętym hełmie niezgrabnym gestem wciskał do jej rąk czarnego kota.

Kot otarł się o jej twarz. Odetchnęła spokojniej. Człowiek pobiegł dalej.



– Jeszcze tylko kawałek.

– Skoro tak mówisz...

– Madhuri już leci.

– Aha.

Szli bardzo powoli korytarzem, w którym brakowało światła, ale przynajmniej po zapachu mogli poznać, że oddalali się od kuchni. Chi w myślach rozważała kolejne sposoby na to, by jakoś ulżyć Stachowi, chociażby po to, by on ulżył jej. Opierał się na niej całym ciężarem, który był znaczny.

– Nie mów Uri, że się poddałem, dobrze?

– To był dobry zwód.

– To nie był podstęp. Puścili mi nerwy.

– Madhuri się nie dowie.

Wyjście było już niedaleko. Kanonada, która wcześniej przez dłuższą chwilę dobiegała do nich z zewnątrz, teraz ucichła. Mogło to znaczyć wiele rzeczy, ale raczej nic dobrego. Chi na wszelki wypadek trzymała miotacz w pogotowiu, jednak głównie starała się zachować równowagę. Być może wleczenie Stacha ze sobą to nie był taki dobry plan.

– Jesteś pewien, że chcesz im debatować?

– To dobrzy ludzie.

– Zastrzelą nas.

– Nie zastrzelą.

– Już próbowali.

– Przestraszyli się.

– Jak będziesz debatować, jak zemdlejesz?

– Idziemy! Bez dyskus – aaauu! – Stach tupnął nogą dla zaznaczenia determinacji, ale użył tej stopy, na której nie stał, to znaczy tej, w którą oberwał. Dobrze mu tak, pomyślała Chi, i zaraz się zawstydziła.

Na zewnątrz było już całkiem ciemno.



Młody nie mógł złapać tchu i to nie pozwalało mu poczuć się bezpiecznie w otaczających go tumanach piachu. Myśl o upuszczeniu interfejsu lub broni przerażała go, ale śmierć przez uduszenie była jednak straszniejsza. Wyrzucił broń i sięgnął za szyję, gdzie wyciął uprząż maski. Gimnastykując się nieco, podciągnął ją na głowę, po czym chwycił samą maskę i dopasował do twarzy. Po chwili odechnął w miarę swobodnie, choć nadal krztusił się od piachu, którego już zdążył się nałykać. Przetarł wizjer rękawem. Żebra i kręgosłup miał chyba całe. Przysięgłby, że oberwał w plecy dwutonowym głazem, ale kamizelka ochronna najwyraźniej zdołała wchłonąć uderzenie.

Wstał z kolan i wychylił się ponad tumany. Pierwszy wróg stał na wprost owinięty szalem, oddalony o jakieś dziesięć metrów. Pozostali zbliżali się ostrożnie i powoli, nie spuszczając go z muszek. Jedno

z nich świeciło mu prosto w oczy latarką. Błękitne światło – nie do pomylenia z czymkolwiek, o ile człowiek wiedział, na co patrzy.

– Słuchaj fajansie, zanim cię ukatrupię, chcę żebyś miał jasność. Te boty, co żeś je tak flifnie zrutował, są na kapiszony. Na pokaz. Na niby. Podpucha do odstraszenia złodziejów.

Młodemu przemknęło przez głowę, że słucha przemowy końcowej zbrodniarza, po której główny bohater filmu nadlatuje w białym lataczu i wszystkich ratuje. Ale nie był w nastroju, żeby z tego kpić. Celowało w niego pięć luf. Burza piaskowa wzmagąca się w oczach. Po dziedzińcu niósł się pomruk niczym z silnika przelatującego w oddali kosmolotu.

– My tu mamy cywilizację! – Zwycięzca starcia roześmiał się, a jego drużyna wraz z nim – Sam widzisz. – Pomachał samopałem. – Technologia. Kulturka! My tu nie zabijamy. Na ogół.

Pomruk przerodził się w huk, ziemia zadrżała, tumany piachu nagle osiadły i na chwilę zrobiło się jeszcze ciemniej, gdy statek przeleciał nad ich głowami. Leciał brawurowo – szerokością niewiele ustępował bramie, ale zmieścił się. Przeleciawszy nad głową Młodego, wykonał gwałtowny zwrot i odpalił boczne hamowanie, zatrzymując się może z pięć metrów od frontu zabudowań. Jego ścieżkę znaczyła fala piasku rozchodząca się po gruncie na boki.

Tutejsi zagapili się na to widowisko, ale zaraz przywołała ich do porządku seria z działka zamontowanego na dziobie, wymierzona w powietrze. Zalało ich jaskrawe światło reflektora. Na wypadek, gdyby to nie wystarczyło, otworzył się boczny właz, w którym ktoś stał:

– Ręce do góry i twarzą do mnie, bo zatłukę jak psy! – drżący męski głos nie brzmiał ani trochę przekonująco, pomimo wzmocnienia głośnikiem, ale za to jego właściciel miał broń, broń miała świetlny celownik, a plamka celownika żwawo przemykała po twarzach. Omiotła też Młodego, co ów odnotował z głębokim niesmakiem.

Młody rozejrzył się po gruncie i wydobył swój miotacz spod opadłego piachu. Zarzucił go na ramię i podjął spacerowy marsz w stronę odsieczy. Frajera, który z wrażenia zapomniał w niego celować, mijając, szturchnął lekko palcem.

– Kulturka!

Chi machała do niego z jednego z okien.



W garażu nie paliły się główne lampy, jednak światła nie brakowało. Słońce docierało do wnętrza statku przez wąskie wizjery umieszczone w burtach i włązie. Jasne plamy sunęły powolutku po ścianach w stronę sufitu.

Nieduży i mocno zużyty łazik zajmował tylko część przestrzeni. Nie był tu całkiem u siebie. W pomieszczeniu królowało urządzenie o niecodziennym wzornictwie, bogato zdobione, w kształcie nie dającym wskazówek co do zastosowania. Z cylindrycznego korpusu okraszonego wymyślnymi motywami zdjęto część pokrywających go paneli, a w odsłonięte tym sposobem gniazda i przewody wpięto kable prowadzące do rozrzuconej wokół elektroniki. W środku tego wszystkiego siedział przygarbiony Szczur i w skupieniu mazał palcami po interfejsie. Stach siedział na masce łazika i obierał kartofle.

– Długo jeszcze?

– Już prawie gotowe.

Szczur wolałby teraz być sam. Ostatnim razem, gdy ktoś patrzył mu na ręce, pacnął nie tę opcję, co trzeba, i szlag trafił układ sterujący ich komory kultuwacyjnej. Tym razem jednak chyba wszystko było w porządku, a procedura instalacyjna przebiegała bez zakłóceń.

Na wszelki wypadek Szczur jeszcze raz porównał krzaczkę wyświetlaną przez maszynę z notatkami, które sporządził na podstawie objaśnień Chi. Chi sama rozumiała piątą przez dziesiątą, ale póki co jej domysły sprawdzały się.

Nadeszła ważna chwila. Szczur sięgnął po niewielką kartę leżącą obok swojego kolana i chwycił ją ostrożnie w dwa palce. Trochę go to bawiło – taki mały przedmiot, a tyle hałasu.

– Więc mówisz, że wymontowaliście to z ich komory?

– Tak. Ale sprawdziliśmy, że wszystko dalej działało. Myślisz, że będą jakieś...

– Nie wiem. Ale skoro działało dalej, to pewnie będzie działać. Bardziej się martwię, czy będzie pasować do naszego maleństwa.

– Jak to?

– Z tego, co mówiliście, oni tam mają dużo większą instalację niż nasza. Sześć komór! I kto wie, co jeszcze? Nie wiem, czy te moduły są wymienne. To tak jakbyś wstawił reaktor fuzyjny do bota ogrodowego.

Z kabiny łazika wyskoczył pręgowany kot, za nim wyłoniła się szczupła dłoń Pejki. Próbowwała jeszcze sięgnąć ku stworzeniu i pogłaskać, ale ono najwyraźniej było spragnione odmiany.

– Oni są zgubieni.

– Kto jest zgubiony?

– Oni.

– Kotku, mów jaśniej.

– Twoi niedoszli oprawcy. Za dwa lata ich już nie będzie.

Szczur wołałby choć raz nie zapytać, co Pejka ma na myśli, nie wiedzieć, nie martwić się – ale po tej całej hecy miał trochę wyrzutów sumienia.

– Myślisz, że ktoś im zrobi krzy... przykrość?

– To nieuniknione. Mają teraz fabrykę. To zaburzy ekonomię. W ciągu półtora roku ktoś do nich zawita, żeby kupić nadwyżkę. Potem przyleci drugi raz i trzeci, i czwarty. Powstanie stała trasa. Zaczną kupować sobie miłe drobiazgi. Zaczną się budować. Zrobią remont. Ktoś coś zobaczy. Ktoś się dowie. Ktoś będzie chciał wziąć wszystko dla siebie. Oni się nie obronią.

Resory łazika zaskrzypiały, gdy gruby brodacz pochylił się w jej stronę.

– Co możemy z tym zrobić?

– Nie wiem Stachu. – Pejka zmarkotniała. – Nie wiem.

Oboje spojrzeli na Szczura. Ten zmieszał się, odwrócił i skupił uwagę na wtykaniu bezcennej karty w jedno z licznych gniazd w korpusie maszyny. Czuł jednak, że patrzą na niego nadal.

– Coś wymyślę.

Niezręczną ciszę przerwał syk śluzy. Z korytarza prowadzącego ku dziobowi statku weszła do garażu Madhuri. Stach wymienił z nią uśmiechy.

– Już skończyłaś?

– Tak.

– Szybko.

– Ile można?

– Gdzie Chi?

– Pociesza.

– Miła dziewczyna.

Kopnęła go lekko w zdrową nogę.

Karta pasowała do gniazda, więc przyszedł czas na konfigurację. Na interfejsie Szczura pojawiły się dwa ciągi znaków – jedno prawie całkiem mu obce, drugie znajome. W teorii był to pierwotny zestaw komunikatów i nałożony nań przekład. W praktyce były to rozpaczliwe

próby Szczura i Pejki, by zrozumieć opowieści Chi o jej rozpaczliwych próbach zrozumienia dziwaczного języka, który zdawał się obywać bez gramatyki.

– Długo jeszcze? – zapytała Madhuri i dostała chóralną odpowiedź, że już prawie gotowe. Oparła się na masce łazika i podjęła uważne studia płam światła pełzających po suficie.

– Stachu...

– Tak?

– Dobrze cię traktowali?

– Bardzo. To mili ludzie.

– Bardzo mili porywacze.

– Oni nie umieją inaczej. Takie prawo – albo ty wyrolujesz innych, albo oni wyrolują ciebie. Każdy to wie. My to wiemy. Sama myślałaś, że nie da się po dobroci.

– Nie dało się.

– Nie spróbowaliśmy.

Pejka uniosła się z siedzenia.

– To jest błędne koło. Wszyscy myślą, że tak musi być, więc wszyscy działają tak, jak myślą, że trzeba. Ktoś musi przestać, ale nikt nie chce być pierwszy. Wicie, ludzie czasem są trochę głupi. – Powiedziała to z tak doskonałą powagą, że Stach i Madhuri roześmieli się gromko. Szczur zamarł w niemym podziwieniu dla Pejki, która w odróżnieniu od niego mówiła, co chciała, i nikt jej nie miał tego za złe.

Ale teraz znów wszyscy patrzyli na niego – Pejka z nadzieją w oczach, Stach z zainteresowaniem, a Madhuri z kpina – więc tylko zgarbił się bardziej niż zwykle i wlepił wzrok w strumień znaków na interfejsie.

– Nie podejmuję się.

Śluza syknęła znowu i do garażu zajrzała Chi. Bez ceremonii zwiściła się Szczurowi nad głową i spojrzała w wyświetlacz.

- Tu źle. A-10, nie A-12.
- Dzięki. Wycofam.
- Nie trzeba od nowa. Tu pacaj. Cofa do następnej opcji.
- Poprzedniej. Dzięki.

Strumień znaków na chwilę zamarł, ale znów ruszył. Przez kilka chwil czekali – na tej czynności zastał ich zachód słońca, któremu umknęli na ciemną stronę planety, w miarę jak przemieszczali się po niskiej orbicie. W garażu nastąpiła ciemność, w której blask interfejsów i kontrolki na urządzeniach diagnostycznych wydawał się tym jaskrawszy.

Ich szansa na spokój, na życie po swojemu, na kawałek własnego raju wśród Gwiazd Niczych – stała tu przed nimi i mrugała do nich bladym błękitem.

Strumień znaków nagle wysechł, a interfejs pociemniał.

Pojawiła się jedna linia. Nakładka nie zdołała jej przetłumaczyć.

- Co tu pisze?

Chi podsunęła nos pod wyświetlacz.

- Służba... działanie... brak... nadzieja... znowu służba... słowo....

Nie miało to sensu. Chi próbowała dalej.

- Brak działania – nadzieja na służbę – podaruj słowo służby.

Pojęli, co to znaczy, lecz przez chwilę nikt nie śmiał powiedzieć tego na głos. Migająca błękitem kontrolka to wydobywała z cienia, to chowała w nim rudą czuprynę tęskniącą za grzebieniem, zdobione siniakiem ramię, stopę owiniętą w bandaż, znoszone wojskowe buty, wzorzystą spódnicę, oczy kota. Wisieli w punkcie przegięcia pogodzeni z wczoraj, niegotowi na jutro, trzymający się kurczowo tu i teraz, wpatrzeni z przerażeniem w zbliżające się gwałtownie „być może” i „kiedyś”.

- Jest gotów do pracy. Czeka na komendę.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki!

Jeżeli autorowi tego opowiadania uda się na nim zarobić, to napisze dalszy ciąg. Spodobała Ci się „Fuszerka”? Wpłać dowolną kwotę na konto autora:

Jacek Wesółowski

84 1090 1030 0000 0001 1435 2378

Bank Zachodni WBK

lub odwiedź naszą stronę wonderland-engineering.eu i skorzystaj z przycisku darowizny za pośrednictwem systemu PayPal.

Daj znać znajomym – może im też się spodoba!

